

Wójtewicz, Franciszek

W boju o Westerplatte

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 16, 83-86

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wojenne wspomnienia żołnierzy – – mieszkańców Bieżunia i okolic

Franciszek Wójtewicz
z Woli Łaszewskiej

W boju o Westerplatte^{*)}

Jestem prostym człowiekiem i byłem tylko kapralem, potrafię więc opowiedzieć tylko to, co rozgrywało się przed moimi oczami i co sam na sobie odczułem.

Służyłem w marynarce wojennej w baonie morskim tzw. desantowym. 15 czerwca 1939 roku odwołano nas z ćwiczeń, kazano przygotować broń i oporządzenie i czekać na rozkazy. Na drugi dzień przyjechało 15 żołnierzy z innej jednostki, przebrano ich w cywilne ubrania i dołączono do naszej grupy. Dowiedzieliśmy się od szypra, że mamy jechać do Gdańska i chyba się już nie zobaczymy. Zawieziono nas ciężarówką do Gdańska, a stamtąd promem na Westerplatte. Zawieziono tylko umundurowanych. Tym samym promem wycofano z Westerplatte 15 żołnierzy. "Cywile" przeprowadzili się nielegalnie w ciągu następujących trzech dni, włożyli mundury i razem z nami przystąpili do służby. Niemcy obserwowali wszystkie ruchy i liczyli dokładnie każdego żołnierza. Stan całego oddziału wynosił wówczas 132 oficerów, podoficerów i żołnierzy ale prawie każdej nocy przybywało nielegalnie po kilku. Przez dwa tygodnie plutonowy oprowadzał nas po wyspie i zapoznawał z urządzeniami, umocnieniami i kolegami. Okopaliśmy się od strony zachodniej. Niemcy stale nas obserwowali i robili zdjęcia. My również meldowaliśmy możliwie najdokładniej o każdym statku i każdym przepływającym okręcie. Sytuacja zaostrzała się – wojna zbliżała się szybko. Któregoś dnia, kiedy stałem na posterunku z bagnetem na karabinie, przepływał niemiecki statek i Niemcy pokazywali na

^{*)} Na podstawie pogadanki wygłoszonej w 1982 r. w szkole w Bieżuniu opracowała Jadwiga Siedlecka.

migi, że będą nam urzynać głowy. Ja pokazałem wówczas, że będziemy ich brać na bagnety i wrzucać do wody. 24 sierpnia podpłynął olbrzymi niemiecki krążownik w asyście kilku mniejszych okrętów, które po pewnym czasie odpłynęły, ale krążownik uzbrojony w olbrzymie działa pozostał.

Pełniłem warty na wartowni nr 1. W tych ostatnich dniach przed wybuchem wojny coraz intensywniej słychać było gromadzące się niemieckie wojsko. Niemcy płynali na łodziach i robili harmider – krzyczeli, gwizdali, walili w bębunki, śpiewali. Rozumieliśmy, że chcą zagłuszyć swoje przygotowania i że atak jest blisko. Spaliśmy więc w pełnym rynsztunku, można było tylko rozpiąć haftkę pod szyją. Oficerowie dyżurni chodzili całymi nocami i pilnowali, żeby nie przysnąć, ale nie zawsze się to udawało. Przysnąłem akurat na chwilę i śniło mi się, że znalazłem portfel, a w nim zamiast pieniędzy były magazynki od erkaemu. W tym właśnie czasie Niemcy podłożyli miny pod mur i wysadzili go – wszystkie szyby w koszarach wyleciały z brzękiem. Oficer krzyczy: “Alaaaarm!” — zerwałem się na równe nogi, wybiegłem przed drzwi, a tu rwą się pociski z dział okrętowych, huk straszny, wszystko sypie się, terkoczą karabiny maszynowe. Obsadziliśmy wartownię nr 1 i okoliczne okopy, otworzyliśmy ogień do nacierających szwabów. Odezwały się nasze moździerze i bardzo pomogły – pierwsze niemieckie natarcie załamało się. Nie długo trwała cisza. Najpierw przeleciały nad nami niemieckie samoloty, a zaraz po tym krążownik znów rozpoczął morderczy ogień z wszystkich luf – z ośmiu wielkich i wielu mniejszych. Pod tym huraganowym ogniem zakotłowało się wszystko – istne piekło. Siedzieliśmy w schronie. Dostałem rozkaz od plutonowego Barana, żeby obserwować, czy pod tym ogniem nie wychodzi nowe natarcie. Kiedy tylko wyszedłem z okopu, pocisk wepchnął mnie z powrotem. Usiłował wyjść i plutonowy, ale wybuch wrzucił go do okopu jak piłkę. Przyszedł chorąży Jan Gryczman i kazał się nam wycofać do drugiej linii okopów. Dowiedzieliśmy się od niego, że porucznik jest ciężko ranny. Mówił też, że był już na dwóch wojnach, ale takiej, to jeszcze nie widział. Jeden z naszych chłopaków dostał w głowę, a Kowalczyk był ciężko ranny. Nieśliśmy go we trzech, ale było to wśród rumowisk, bardzo niewygodne. Wziąłem więc go sam na plecy, a koledzy zamiast dać mi zmiany, ulotnili się. Niosłem go chyba z kilometr, aż zupełnie opadłem z sił. Zameldowałem na wartowni, żeby wzięli go dalej. Strasznie chciało mi się pić, ale mieli tylko brudną wodę, którą obmyli rannego porucznika – napi-

łem się tej wody, ale potem nie mogłem do wieczora nic zjeść, bo stale mnie mdliło.

Nie spaliśmy żadnej nocy, stale trzeba było odpierać ataki, które jak fale przychodziły raz po raz. Najgorsze były samoloty, zjawiały się znie-nacka i waliły bomby. Kiedy po kilku dniach wreszcie usnąłem twardym snem, dostałem w nogę kawałem betonu, a koledze obok urwało palec u ręki. Gdy odleciały samoloty, chorąży wrzeszczał: “gaaaz – maski zakła-dać!!” Nie założyłem maski – pomyślałem, że jeśli mam zostać ciężko ranny i umierać w męczarniach (widziałem takiego z wyprutymi flakami), to wolę zostać otruty, ale gaz nie był trujący.

Zbombardowano wartownię nr 5, kilku ocalało. Ktoś zawiadomił mnie, że mój kolega umiera. Pobiegłem tam – jeszcze żył. Z kolegą tym wymie-niliśmy uprzednio adresy, żeby zawiadomić rodziny. Okazało się, że jak trafili wartownię nr 5, to zarwał się cały strop i przydusił chłopaków. Mówio-no, że idą z pomocą alianci, że wyzwolą nas ich okręty, ale w rzeczywisto-ści pierścień niemiecki zacieśniał się na lądzie i morzu, przybywało też wrażej broni. Podstawili cysternę z benzyną, żeby nas wykurzyć, ale udało nam się ją spalić.

Usłyszeliśmy przez radio, że wszyscy na Westerplatte polegli i w kościo-łach odprawiają się modły za nasze dusze – to były niemieckie sztuczki.

Po siedmiu dobach nieprzerwanego ognia, wszystko nagle ucichło. Ogoliłem się, jak na śmierć, a tymczasem major Henryk Sucharski zebrał oficerów i zakomunikował im, że postanowił poddać placówkę. Ani ofice-rowię, ani żołnierze nie chcieli o tym słyszeć. Major mówił: “przecież mie-liśmy utrzymać placówkę przez 12 godzin, trzymamy ją przez 7 dni bez dalszych pomyslnych widoków, a amunicja jest na wykończeniu. Gdybym ja, kiedy nie ma żadnej nadziei, tyle dusz stracił, to Pan Bóg nigdy nie wybaczyłby mi tego”.

Wywieszono białą flagę i stanęliśmy w szeregach. Major po kolei każ-demu żołnierzowi podał rękę, mówił, że wojna nie skończona i jeszcze przydamy się Polsce. Było nas około dwustu. Przyszedł niemiecki puł-kownik i przemówił do nas. Powiedział, że mimo iż jesteśmy przeciwnika-mi, uważa nas za bohaterów. Niemcy nie chcieli wierzyć, że była nas taka garstka. Poczęstowano nas papierosami i oddzielono oficerów. Żołnierze niemieccy zachowywali się przyzwoicie, gorzej niemiecka ludność Gdań-ska. Stali tłumnie z kijami i kamieniami w rękach i gdyby nie eskorta,

porozbijaliby nam głowy. Wsadzono nas do budynku na piętro. Było to chyba więzienie. Zastaliśmy tam pracowników poczty, którzy byli tak strasznie zbici, że nawet centymetra białego ciała na nich nie było. Dostaliśmy chleb i papierosy. Koledzy z poczty oddali nam swoje racje – wiedzieli, że czeka nas rychła śmierć. Po kilku dniach wsadzono nas do pociągu i pojechaliśmy do Stalagu (obóz jeńców wojennych). Porozwozili nas do pracy w majątkach. Byłem w grupie dwudziestu. Nie było źle. Dawali nam mleko i chleb, mieliśmy łóżka i ręczniki. Przepracowałem tam do końca wojny.

Bolesław Kobylński
Trzaski

Pod Pułtuskim i Modlinem we wrześniu 1939 r.')

8 sierpnia 1939 roku zostałem powołany do jednostki (13. pułk piechoty) w Pułtusku. Odbiliśmy kilkudniowe manewry, otrzymaliśmy "śmiertelne tabliczki", pełne oporządzenie, broń i ostrą amunicję. Pułkownik Alojzy Nowak po naradzie z oficerami wydał rozkaz wymarszu na wyznaczone pozycje. Kompania, w której byłem, zajęła stanowiska pod Gruduskim. Stanowiliśmy drugą linię obrony od strony Prus Wschodnich. Byliśmy w stałym pogotowiu – spaliliśmy w mundurach z bronią przy sobie.

1 września rozkaz dowódcy poinformował nas o początku wojny. Siedzieliśmy w okopach przez piątek, sobotę i niedzielę. Byłem w sekcji granatników. Kiedy zostałem wysłany z meldunkiem do dowódcy kompanii, przysypał mnie pocisk artyleryjski, bo właśnie zaczął się ostrzał naszych pozycji. Karabin i jeden palec ręki miałem strzaskany. Założyłem opatrunek i wróciłem na pozycję. Niestety, obrona nasza łamała się i w poniedziałek zaczęliśmy się wycofywać pod stałym ostrzałem artylerii. Ogień był tak wielki, że poszliśmy w rozsypkę, a następnie dołączyliśmy do pierwszych napotkanych oddziałów. Ja przyłączyłem się do artylerii. Przeszliśmy Płock, Łąck, Sochaczew. Za Sochaczewem odnalazłem, jak wielu kolegów, nasz pułk, który ponownie się formował. Przeszliśmy przez Pu-

*) Wspomnienia spisane w grudniu 1986 r. przez Jadwigę Siedlecką.